

Nie wierzcie im! - Recenzja Szatańskich wersetów Salmana Rushdie

Po z górą 20 latach od pierwszego polskiego wydania Dom Wydawniczy Rebis opublikował ponownie „Szatańskie wersetów” Salmana Rushdiego. Fakt, że tym razem ujawniono wydawnictwo i tłumacza, potwierdza, że fatwa, mimo że formalnie nigdy nie odwołana, została już uznana za niegroźną.

Nielatwo napisać recenzję książki, o której każdy słyszał, nawet jeśli książek nie czyta. W opisie wydawcy czytamy: „*Porwany przez terrorystów samolot Bostan, lot AI-420 z Bombaju do Londynu, zostaje wysadzony w powietrze nad kanałem La Manche, a jedynymi pasażerami, którzy cudem wychodzą z katastrofy cało, są dwaj indyjscy aktorzy, wcielający się w role bogów - Dżibril Farišta i człowiek o tysiącu i jednym głosie Saladyn Ćamca. To cudowne miękkie lądowanie rodzi jednak pewne nieoczekiwane konsekwencje...*”

Książkę można określić jako studium zjawiska objawienia z punktu widzenia niewiernego. Jest peanem na cześć wielokulturowości oraz swobodnego mieszania się idei i ras ludzkich. Fikcyjny Prorok ukazany jest w niej jako człowiek z krwi i kości i to właśnie wywołało w świecie muzułmańskim falę protestów, gdyż wielu muzułmanów uznało to za nieakceptowalne. Dla autora ogłoszenie „Wersetów” drukiem stało się nieoczekiwane początkiem walki o życie i wolność słowa. Z perspektywy lat można dostrzec jednak, że to nie odbiór przez muzułmanów i klątwa ajatollaha Chomeiniego były najważniejsze. Jako recenzentka chciałabym napisać raczej o tym, dlaczego ta książka jest dobra, a nawet świetna, nie zaś - dlaczego jest głośna.

Pierwszym i jak dotąd jedynym utworem Salmana Rushdiego, który przeczytałam, była książka „Harun i morze opowieści”, z pozoru przeznaczona dla dzieci, dedykowana przez Rushdiego starszemu synowi. Zachwycił mnie jej język, z całym jego bogactwem i fantazją. Ten sam realizm magiczny, który w baśniowym „Harunie...” jest niezbędny, spotykamy w „Szatańskich wersetach”. Najwyraźniej jest on cechą pisarstwa Rushdiego.

W „wersetach” przeplatają się teraźniejszość z przeszłością, świat rzeczywisty ze światem marzeń sennych, Wschód z Zachodem, dobro ze złem, wątki dzielą się i znów łączą, i tak od początku do końca, przez całe 579 stron. Ile, spytaście? Kto jest dziś w stanie tyle przeczytać!?! Otóż ja i wszyscy ci, którym droga jest erudycja, piękno języka, którym Rushdie posługuje się z cyrkową zręcznością, nic nie tracąc przy tym ze stylu. Jego język jest bogaty, ale nie napuszony, przynosi się bez trudu z rejestrów wysokich w niskie i z powrotem. Nie dziwi w tym kontekście, że autor za powieść „Dzieci północy” otrzymał Nagrodę Bookera.

Rushdie otrzymał także z rąk królowej Elżbiety II szlachectwo za zasługi na rzecz literatury i z pewnością na nie zasłużył. Bez trudu, jak sądzę, możemy dopatrzeć się niektórych jego cech w Saladynie Ćamci, angielskim dżentelmenie, który konsekwentnie wypiera wszelkie pozostałości hinduskie i któremu dopiero katastrofa uświadamia, że nie można zaprzeczyć się sobie, choćby kreacja była doskonała, a maska na stałe zrosła się ze skórą.

Ta paralela mogłaby się wydawać parodią, gdyby nie ogromny dystans, jaki ma Rushdie w stosunku do swoich bohaterów i jego poczucie humoru. Punktuje bez litości bufonów z obu stron barykady, wprowadzając elementy

fantazji czy baśni wytrąca nam z rąk pewność siebie, do której przywykliśmy w dobie wszechwładzy rozumu, nauki, komputerów. To książka o tym, że „wszystko się może zdarzyć”. Książka porywająca, wciągająca bez reszty.

Czemu więc nie sięgałam po nią tak długo? Bo wielu zapewniało mnie, że jest nudna, a rozgłos zawdzięcza tylko fatwie. Nie wierzcie im!

*

Salman Rushdie, "Szatańskie wersety" ("The Satanic Verses"), tł.: Jerzy Kozłowski, wyd. Rebis, Poznań 2013

*

Książka pierwotnie zrecenzowana na stronie [fotoKOLASEUM](#), fotografia i literatura.